**„Pulverkopf” Edward Pasewicz**

Podobno miłość od nienawiści dzieli bardzo niewiele. Po przeczytaniu książki Edwarda Pasewicza ,,Pulverkopf” moje wrażenia były podobne – fascynacja z wysiłku autora wniesionego   
w tę obszerną pozycję książkową, ale zarazem rozdrażnienie, by nie rzec wściekłość za zagmatwanie jej akcji i bohaterów.

,,Pulverkopf” powstawał aż 16 lat, co łatwo zauważyć podczas czytania. Z ponad 1200 stron pierwotnej wersji wydawca książki zaakceptował do druku tylko połowę. Książka zdobyła nagrodę Angelus ufundowaną przez miasto Wrocław jako najlepsza powieść z Europy Środkowej w 2021 roku. Była też nominowana do prestiżowej nagrody NIKE. To wystarczające powody, by sięgnąć po tę pozycję i dobrnąć w czytaniu do końca.

Jednak już po kilkudziesięciu stronach lektury byłem tak skołowany, że sięgnąłem do internetowych recenzji. Nie rozumiałem m.in. znaczenia tytułu i ciągłej zmiany miejsca oraz czasu akcji i występujących bohaterów. Drażniły mnie też częste germanizmy bez tłumaczenia   
i hebrajskie litery na początku kolejnych akapitów.

Tymczasem recenzje były entuzjastyczne. Pasewicz wyjaśniał, że tytuł jest po niemiecku, bo nie zna lepszego słowa na postrzeganie kogoś, kto ma rozproszone postrzeganie, czyli ma ,,głowę   
w proszku”. Co należy odczytywać jako ,,w gorącej wodzie kąpany”. W dosłownym tłumaczeniu   
z niemieckiego pulverkopf oznacza głowę w proszku.

Zachwyceni recenzenci zwracali uwagę na misternie skonstruowaną, wciągającą, wielopoziomową akcję, określając książkę jako wybitną. Autor podobno świadomie miesza wątki   
w książce, miejsca i czas zdarzeń, wprowadza liczne odniesienia do historii literatury i muzyki. Bo przez całą powieść wręcz obsesyjnie poszukuje prawdy o losach niemieckiego kompozytora podczas wojny. Inny recenzent szczerze przyznawał, że za pierwszym czytaniem książka go odrzuciła, a dopiero za czwartym – był nią zachwycony. Cierpliwość godna podziwu.

Pasewicz spędził dzieciństwo i młodość w Międzyrzeczu, w naszym województwie. Poznał zatem dobrze miasto i jego mieszkańców. Także jego przedwojenną historię, w tym wątek miejscowego szpitala psychiatrycznego, gdzie hitlerowcy mordowali umysłowo chorych, których traktowali jako hańbę swojego narodu.

Mamy więc obsesyjnie powtarzany przez autora Meseritz, dziś polski Międzyrzecz, kilkanaście lat temu. 17-letni Patryk Werhut na brzegu rzeki Obry znajduje pływające zwłoki marynarza, mieszkańca miasta. Szybko padają podejrzenia, że to właśnie Patryk przyczynił się do śmierci mężczyzny. Jak na obecne standardy Patryk jest co najmniej dziwny. W szkole jest nielubiany, określany jako szkopek, bo wywodzi się z niemieckiej rodziny. Sam siebie określa jako niebieskookiego i blondwłosego aryjczyka o słodkim spojrzeniu, wręcz jako uebermenscha, czyli nadczłowieka z nazistowskiej ideologii.

I właśnie to zdarzenie, czyli znalezienie zwłok, staje się dla Pasewicza pretekstem do snucia opowieści o splątanych i skomplikowanych losach Polaków, Niemców, Żydów i Rosjan w tym mieście na przestrzeni kilkudziesięciu lat.

Czytając książkę, często nie wiedziałem, o kim jest mowa, w jakim czasie i miejscu dzieje się akcja. Drażniło mnie nadużywanie germanizmów bez tłumaczenia, np. Herr Grossadmiral Tanski, unbekannt (nieznany) Landsberg (dziś nasz Gorzów), Kęszyca heute Polen. Do tego wiersze po niemiecku, grecku i hebrajsku, też bez tłumaczenia. Odrzucał mnie daleko posunięty naturalizm, jak chociażby opisy onanizowania się i defekacji czy też przeżywania tzw. kaca po nadużyciu alkoholu.

Osobiście drażniły mnie też hebrajskie litery na początkach rozdziałów książki.   
Z hebrajskim pismem mam zresztą niezbyt dobre wspomnienia. Podczas wycieczki po starej Jerozolimie izraelski pilot mówiący po polsku jakoś bezmyślnie wyznaczył nam miejsce zbiórki za kilka godzin pod jakimś budynkiem z hebrajskimi szyldami. Ja tych kanciastych liter nie rozróżniam i nie znam. Bałem się więc, że po kilkugodzinnym samodzielnym zwiedzaniu miasta mogę nie znaleźć miejsca zbiórki. Nie mogłem zatem daleko odchodzić, by nie pomylić drogi. Na szczęście wszystko skończyło się dla mnie dobrze, trafiłem gdzie trzeba było.

Zaletą książki są stare fotografie, szkoda, że bez podpisów.

Ciekawy, choć nie do końca jasny, jest zabieg pisania w treści książki pamiętnika czy też ,,powieści w powieści”.

Podsumowując – przeczytanie do końca ,,Pulverkopfu” jest trudne, żmudne i uciążliwe, ale daje satysfakcję. I pewne pojęcie o tym, jakie zabiegi stosują autorzy powieści nagradzanych   
i ocenianych dziś jako wybitne.

Andrzej Włodarczak